

GŁOS KOLEGIALNY

Organ organizacji uczniowskich Kolegium. — Wychodzi raz w miesiącu.

Adres Redacji: Radecznicza, Kolegium (lub.)

Radecznicza, czerwiec-lipiec 1938.

W dniu Patrona Kolegium

Dnia 15 sierpnia 1195 r. w domu Marcina Bul-laesus, w Lizbonie, zapanowała nieopisana radość, albowiem żona jego Maria powiła syna, który na chrzcie św. otrzymał imię Fernanda (Ferdynanda). Rodzice nowonarodzonego byli członkami szlacheckiego i bogatego rodu i zdawało się, że to dziecię zajmie w przyszłości wielkie stanowisko świeckie, co potwierdzały wybitne zdolności wra-stającego chłopca.

Bóg jednak wyznaczył mu inne i pewniejsze dostojenstwa. Bo oto po kilkunastu latach b. zdolny i robiący szybkie postępy w nauce młodzieniec wstępuje do zakonu Kanoników Regularnych, aby poświęcić się służbie Bożej. Tu przypadkowo spotkał się z Synami św. Franciszka, którzy mu opowiedzieli o swym Założycielu i o tym jak on wysyłając ich na misje rzekł: „Synowie moi, Pan zlecił mi posłać Was w kraje Saracenów, abyście im opowiadali i wyznawali przed nimi wiarę Jego i wykazali oszustwo Mahometan”.

Fernando przejął się tymi słowami. Od tego czasu o niczym innym nie myślał, jak tylko o wstąpieniu do Zgromadzenia św. Franciszka (bo zakonem jeszcze wówczas nie było). Oliwy do ognia dołało męczeństwo Braci św. Franciszka w A-

fryce, wśród Saracenów. I jego myślą przewodnią stało się wówczas umrzeć męczennikiem. Dla tej myśli zmienił wspaniały habit Kanonika Regularnego na prostą i nędzną szatę Braci Mniejszych, dotychczasowe imię Ferdynanda na Antoniego, aby pod nim zdobyć rozgłos i zakończyć życie. Zaczął teraz rozczytywać się w Regule i Tradycji swego Zgromadzenia, którymi był jeszcze wtedy sam Franciszek.

Po odbyciu nowicjatu wyruszył do Afryki. Wiedział, jak trudne zadanie miał przed sobą, jednak wierzył, że Ten, który go powołał pod opiekę skrzydła Franciszka, będzie go strzegł.

Ale niezbadane są wyroki Boże.

W Afryce zapanował głód, a Saraceni nie byli nawet zdolni do słuchania nauk, a co więcej i sam Święty Misjonarz popadł w ciężką chorobę. Poznał w tym wolę Bożą. Opuścił Afrykę i został zagnany przez burzę do Italii, która się stała odtąd przybraną jego ojczyzną. Udał się następnie na kapitułę generalną zwołaną przez św. Franciszka, ale stosując się do słów swego Zakonodawcy, że „przełożenie prowadzi do upadku, chwała porywa ku przepaści, tylko uniżenie podwładnego jest bogactwem duszy”, nie chce zwracać na siebie uwagi i udaje się na pustelnię w Monte Paolo.



Święty Antoni Padewski — Patron Kolegium.

Jednak Bóg chciał, ażeby on nie tylko udoskonalił siebie, ale i pracował dla zbawienia dusz innych.

Przełożeni poznali jego zdolności i zaczęły się sypać na niego godności po godnościach.

W ich wypełnianiu cechowała go niezwykła przezorność i niezwykła energia. Nie znał przeszkód, ani trudności, ani przemęczenia. Zaczyna też nawracanie kacerzy. Do celu, jakim było nawrócenie, szedł zawzięcie, nie lękając się walki na słowa. Kazania jego były proste, lecz wymowne i pełne treści. W tej pracy misjonarskiej przeszedł Francję i Włochy. Jak gorliwie spełniał obowiązki misjonarskie i jakie były ich rezultaty, o tym świadczy przydomek „Młota Kacerzy”. W tych swoich nadziemskich wyczynach nie miał innej ambicji, prócz tej, by zostać męczennikiem i świętym. Do tego celu dążył z zaparciem się siebie. Ciągłe staczał bój z samym sobą, bo wiedział, że kto nie ujarzmi zła w sobie samym, nie może ujarzmić zła w innych.

Ku celowi dążył zawsze przez pokorę, mówczą pracowitość i niezmierną żarliwość apostołską. Kościół ocenił jego wielką świętość i już w nie pełna rok po jego rozstaniu się z tym padołem łez i płaczu, podniósł go na ołtarze i nadał mu zasłużony tytuł „Męczennik pragnieniem”. Gdyby się chciało wyliczyć wszystkie zasługi, zaparcia się i prace św. Antoniego, trzeba by było specjalnego natchnienia Ducha św., poza tym mieć pióro przynajmniej Sienkiewicza. Jeżeli chcemy go dokładnie poznać, dążmy często przed Jego Ołtarze, wpatrujmy się w Jego Wizerunek, zanóśmy tam wszystkie swoje dolegliwości i cierpienia, a On wstawi się za nami do Stwórcy i nigdy nas nie zawiedzie, wszak:

Za Jego przyczyną chorzy z grobu wstają,
Z rąk i nóg pojmanych okowy spadają,
Kalecy się cieszą członków uzdrowieniem,
Zguby się wracają za ufnym westchnieniem.

W każdej on potrzebie pomoże, pocieszy
I w każdym nieszczęściu na ratunek spieszy.

Fr Leoncjusz Cyronik
b. kolegiasta

Nasze posłannictwo

Wstęp.

Chlubną ma kartę w naszej historii narodowej Zakon OO. Bernardynów. Rudy, niepokąźny habit bernardyński cieszył się jeszcze większym szacunkiem i wzięciem, niż zbroja towarzysza pancernego. Postać zakonnika, opasanego grubym, wężlastym pasem należała i do bardzo popularnych i do szanowanych i do cenionych. Było tak nie dlatego tylko, że Bernardyn był miłym kompanem w doli i niedoli, że z cieszącymi cieszył się, a z płaczącymi płakał, ale przede wszystkim dlatego, że Zakon ten wziął na siebie pewną misję dziejową Polski i był jej wiernym i wszystko robił i robi, żeby się jej nie sprzeniewierzyć. Misją tą była i jest Straż Kresowa.

I. Cel sprowadzenia Bernardynów do Polski i wypełnienie posłannictwa.

Kazimierz Jagiellończyk, jeden z najbystrzejszych i najrozumniejszych naszych władców, sprowadzając do kraju swego Braci Mniejszych Obserwantów, nazywanych później Bernardynami, od pierwszego ich gościa św. Bernardyn w Krakowie, postanowił ich użyć do specjalnego zadania: do nawrócenia Rusi. Leżało to tak w interesie Kościoła — jak i w interesie polskiej racji stanu. I trzeba przyznać, że Pracia w lot pojęli intencję swego Wielkiego Przyjaciela i wypisawszy tę dewizę na swym sztandarze — mężnie go ponieśli w znojną dal wieków. Wprawdzie pierwsze klasztory budują w rdzennej Polsce, ale były to tylko, jak gdyby kadry, gdzieby się to wojsko Boże zaprawić mogło do pracy, jaka je czekała na Kresach. I kiedy tylko te kadry wzmogły się liczebnie i duchowo, idą na wschód i stawiają tu swe pierwsze stannice wiary i polskości w Przeworsku, Lwowie i Samborze i na północy we Wilnie i, ku oburzeniu Iwana Groźnego, w dalekim Płocku i czasowo i w Kijowie. Na czoło Apostołów braci-rusinów szymatyków wysuwa się Bł. Jan z Dukli, który zostaje ogłoszony później Patronem Polski i Rusi i pierwsi bernardyńscy męczennicy w Połocku, którzy w r. 1563 — po zajęciu tego miasta przez Iwana Groźnego, zostali na jego rozkaz przez Tatarów zamordowani a klasztor spalony. Krew tych Rycerzy Chrystusowych, którzy dali życie za prawdę, stała się tym dla polskiej Prowincji Bernardynów, czym było męczeństwo Braci w Marokku dla całego Zakonu — początkiem rozkwitu i źródłem obfitych łask Bożych. Powstaje teraz całe mnóstwo klasztorów misyjnych, tak, że jak mówi X. Kantak, nie było na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej województwa bez klasztoru bernardyńskiego. W ruskim powstają klasztory w Zbarażu, w Bukaczowcach, Leśniowie; w podolskim Husiatyn; braclawskim Uładów; wołyńskim Dubno, Łuck, Janówka, Zasław; w kijowskim Kijów, Machnówka, Strzeliszczce, Tarłów, Samuelów, Mańków, Łubnie, Rommy; w czernichowskim Bauryn. To samo mniej więcej, chociaż trochę w skromniejszych rozmiarach, miało miejsce na Litwie i Białorusi. Były to twierdze katolicyzmu i polskości i zarazem posterunki misyjne.

Że to nie frazes, że misja to była w całym tego słowa znaczeniu to najlepszy dowód na to w tym, co się stało w czasie wojen kozackich, które miały charakter wojen religijno-narodowych. Czternaście konwentów poszło z dymem a 70 zakonników poniosło śmierć męczeńską. To samo było na Litwie w czasie wojny z Moskwą. Nie skończyło się jednak na tym, przyszły bowiem następnie wojny z Turcją i napady Tatarów, które zdawały się być gwoździem do trumny dla egzystencji klasztorów bernardyńskich na Kresach i ich zbożnej działalności. Jeszczeby nie wolno było rąk załamywać, gdyby zaplecze było silne, tj. klasztory w rdzennej Polsce. Ale i te niemal

wszystkie zostały obrócone w perzynę w czasie „potopu” szwedzkiego. Położenie było bez wyjścia.

Mimo wszystko jednak, po jakim takim uspokojeniu się w kraju za Sobieskiego, rozpoczyna się praca na nowo. Wprawdzie na Zadnieprzu, które od Polski odpadło — raz na zawsze przepadły bernardyńskie stannice — na ziemiach jednak, które przy Rzeczypospolitej pozostały, rozpoczyna się odbudowa. Ogół magnatów i szlachty, oceniając doniosłość kresowych misyj bernardyńskich, prześciguje się w ofiarach tak, że nie tylko stare klasztory na nowo powstają z gruzów, ale i nowe jeszcze przybywają. Wśród nich w Mozyrzu i Witebsku. Nie ma już teraz jednak tego rozmachu, jaki był dawniej. Niezawodnie składały się na to i przyczyny niezależne od Zakonu. Blask i potęga dawnej Rzeczypospolitej zbladły, nie miała ona już w sobie tej siły atrakcyjnej, jaką posiadała ongiś. Społeczeństwo było ospałe, a jakie społeczeństwo takie i duchowieństwo. Rosja coraz więcej zaczyna się mieszać w sprawy polskie, ogłasza się protektorką dyssydentów a ci zwracają się w stronę silniejszego. Choć jednak nastąpiło obniżenie się poziomu poczynań i przedsięwzięć Zakonu, to jednak stale go widzimy przy pracy — zwłaszcza w ważniejszych dla narodu chwilach. W czasie konfederacji barskiej, która głosiła hasła samowystarczalności narodowej, Zakon opowiada się za konfederatami, w czasie działalności Komisji Edukacyjnej, czy poczynań na polu szkolnictwa Czartoryskiego, zakłada na Kresach i prowadzi szkoły, by w ten sposób służyć dobrej sprawie Kościoła i polskości. W ogóle Bernardyni

z narodem działają, potykają się, są jego częścią składową, głęboko z nim zrośniętą — a więc, kiedy ten upada, cierpi, krwawi się — to ten sam los jest ich udziałem.

Znali to dobrze zaborcy — dlatego też, chcąc zdusić wszelkie możliwe ośrodki, skądby mogło płynąć odrodzenie się wolności narodowej, znieśli zakony, znieśli i Bernardynów.

II. W wolnej Polsce nowe wysiłki OO. Bernardynów na Kresach

Po zniesieniu Zakonów w ogóle a Bernardynów w szczególności — rozpoczęły rządy zaborcze, zwłaszcza Moskale, niszczenie ich wiekowego dorobku. Solą w oku była im przede wszystkim unia Kościoła wschodniego z Kościołem rzymskim. Rzucili się tedy na nią z całą furją i wschodnim okrucieństwem. To, co Synowie św. Franciszka we spół z innymi budowali przez wieki, to miało się rozpaść za jednym kopnięciem żołdackiego buta. Przeliczył się jednak muzyk rosyjski. Dzieło uświęcone potem apostołskim tytu świętych mężów, dzieło Boże, skropione krwią męczeńską najlepszych synów Kościoła i Polski nie mogło się stać igraszką moskiewskiego barbarzyńcy. Swistały nahajki, lała się krew, padały trupy nowych męczenników, a car-samodzierzca nic nie mógł poradzić. Rok 1905, rok Ukazu tolerancyjnego był zarazem rokiem triumfu dzieła unii i unitów, którzy ławą przeszli do Kościoła rzymskokatolickiego.

Nie wszyscy jednak wytrwali. Jedni ze słabości, drudzy zwabieni obietnicami, inni żądni

Si quaeris...

Cóż to za światło przedziwne w obłokach, co to za orszak spływa w ziemskie progi? To św. Antoni aniołów mnogich otoczony chórem opuścił w Swój dzień uroczysty prześliczne niebo, by znów obdarzyć nowymi łaskami tych wszystkich, którym żyć ciężko na ziemi. Ledwie zamknął niebieskie bramy, a już zalał śpiące chmury łuną światła, zgasił tu i ówdzie mrugające gwiazdy, ogniem miłości zapalił obłok i rzucił przez połowę nieba kolorową tęczę. Niebo na krzyż przeciął jasną barwną smugą i w pośrodku stanął. Uśmiechnięte oblicze gorzało mu szczęściem niepojętym, w prawej ręce trzymał lilię śnieżno - białą, której rozkwitnięte kielichy wydawały upajającą woń. Chóry anielskie śpiewały wokół dźwięcznie, wdzięcznie, rozkosznie. Promieniujące zaś oczy Świętego dziwnym blaskiem patrzyły z wysoka na ziemskie rozłogi, kędy tęsknota, smutek, żal i boleść, kędy niedola, bieda, rozpacz głucha rozpostarły skrzydła czarnej żałoby nad zboliałym ludem. Patrzy i słucha. Byстрыm uchem łowi jedną, wielką skargę, co z nadziemskich łanów, niby tuman kurzu przesiąknięty parą, wznosi się ku górze. Chwyta je, każdą z osobna rozpatruje i w pamięci chowa.

A potem, gdy już słońce twarz rosą umyło, z dwoma aniołami wszedł na ziemskie niwy, gdzie w którąkolwiek stronę zwrócił święte oczy, wszędzie nędzę widział.

W domach miast i miasteczek, w zapadłych ruderach, w suterynach, w piwnicach zamierali ludzie z głodu. Gdzieniedzie ku słońcu wyglądały twarze wychudłe i kańciaste, żółte, lub przeżroczone. Tu i ówdzie czyjeś oczy świeciły gorączkowym blaskiem. Czyjeś usta spieczone ostatnim wysiłkiem wołały ku niebu w on czas poranny. — Chleba naszego powszedniego daj nam, Panie! O daj nam, Panie, chleba naszego!

Przez otwarte znów pole, gdzie wiatr tylko buja, idzie w dzień słotny samotna rodzina. Za nimi pustka, przed nimi pustka i wokół głucho, ciemno i ponuro. Idą wygnańcy bez dachu i pracy, idą przed siebie, hen, w świat rozległy, gdzie oczy poniosą, gdzie los zaprowadzi. A małe dzieci drząc z zimna i głodu wołają żałośnie tam w szczyrim polu: „Mamo, jeść, o mamo!” A matka słysząc i wielką prośbę i skargę bolesną wraz z ojcem troskliwym śle w pochmurne niebo błagalne wołanie.

— Chleba naszego powszedniego daj nam, Panie! O daj nam, Panie, chleba naszego!

kariery, jeszcze inni wskutek przemocy znaleźli się w cieniu trójramiennego krzyża szyszmatyckiego. I kiedy powstała wolna Ojczyzna i ustaliły się jej granice, znalazł się w ich obrębie poważny odsetek szyszmatyków, którzy ongiś byli Polakami i unitami. — Polska mając całe mnóstwo pilnych do załatwienia spraw, zmierzających do ugruntowania swojej państwowości i niepodległości, nie zwróciła początkowo swych oczu i swego zainteresowania na ten odcinek. I tu się zaczyna tragedia. Tę chwilową bowiem obojętność, czy też niedopatrzenie naszej młodej państwowości potrafili wykorzystać jej wrogowie i nie tylko utwierdzili tych dawnych katolików w szyszmi, ale oprócz tego potrafili w nich wmówić, że nie są Polakami. I dziś ci potomkowie kiedys dzielnych, kresowych strażników polskości, co byli nazione Rutheni a gente Poloni, zaczynają w Polsce i Polakach widzieć wrogów, a chętnie zwracają oczy ku bolszewickiemu wschodowi a w najlepszym wypadku ku wojującemu ukrainizmowi. Krwawe wypadki w Żukowie, które miały miejsce dwa lata temu, stały się sygnałem ostrzegawczym. Prasa zaczęła grać larum na trwogę. Słyszcy się coraz częściej głosy: tak dalej być nie może. Co nam obca moc wydarła, musimy z powrotem odzyskać. Nie tylko terytorialnie, ale i duchowo. I to drugie przede wszystkim, i to jak najprędzej. Kościół już dawno czyni w tym kierunku wysiłki, obecnie przychodzi mu z pomocą wojsko.

Ostatnio zwrócił się J.E. Ks. Biskup Fulman, Ordynariusz Lubelski, a równocześnie i Wojskowość z P. Generałem Olbrychtem na czele do Zarządu naszej, Bernardyńskiej Prowincji, by nasz Zakon stanął do pracy na zagrożonym tym odcinku. I Ojcowie Prowincji, pomni na przeszłość Zakonu i mimo, że wiele innych i spokojniejszych i łatwiejszych placówek mogliby objąć, nie mogli odmówić temu wezwaniu i nie od-

mówili. Postanowiono objąć Miączyn, miejscowość w pow. hrubieszowskim i trzy inne kościółki, oblane zewsząd prawosławiem, by tu wystawić klasztor i rozpocząć apostołską pracę dla Kościoła i Polski.

Ciężki to będzie i odpowiedzialny posterunek. Wielkie jednak i święte duchy bernardyńskich Męczenników kresowych nie odmówią swego wstawiennictwa u Pana Zastępów i wyjedną dla tej nowej placówki trwałe i pomyślny rozwój.

Oprócz tej placówki objęła Prowincja stary swój klasztor w Husiatynie na samej granicy bolszewickiej, skąd będzie wyteżala wzrok ku Bolszewii, rychło i tam nadejdzie czas żniwa.

Zakończenie

Tak więc Zakon nasz zaczyna coraz więcej i szerzej realizować swój cel, dla którego został sprowadzony do Polski. Wprawdzie i dotychczas już, obsługując całe mnóstwo placówek na Wschodzie, choćby wspomnieć tylko pracę wśród Polaków w Mandżurii i na Sachalinie, dziesięcioletnią pracę sp. O. Herkulana w bolszewickim Zastawiu, czy też, by wymienić Zbarażczyznę, Zakon służy domostwej sprawie Bożej i Narodowej, teraz zaczyna jednak ekspansję na szerszą jeszcze skalę.

I jeszcze jedna rzecz: pierwszymi pracownikami w Miączynie zostali dwaj byli wychowankowie Kolegium w Radeczniczy. Zakład ten nasz, stojący na dawnej ziemi kresowej i położony na wysokiej górze, staje się, jak gdyby b r a m a w y p a d o w a. Wychowankowie Kolegium, mając z jednej strony przed oczyma przeszłość Zakonu a z drugiej swoich starszych współpracowników na kresowej placówce, będą żyć myślą i ideą, by w przyszłości, służąc Bogu, służyć również i Polsce i strzec i bronić ziemi „skąd nasz ród”.

O. Jan Duklan Michnar.

A tam pod lasem, pod rosochatą sosną nieznanym młodzieniec przystanął i bystrym okiem, hej, orlim spojrzął na świat uroczy. Śmieją się oczy przyrody urokiem, do cudów natury rwie się dusza młoda. Chce lot swój rozwinąć i wzbic się w obłoki, by tam ozywczym odetchnąć powietrzem by niby wolny ptak w przestworzach bujać. Lecz ledwie się bujne rozprzestrzenia skrzydła, wnet opadają bezsilne, rzeczywistości stracone techniciem.

— Nie w obłokach przebywać, ale żyć na ziemi! — twardo i bez litości prawi rzeczywistość.

— O tak, poruszają się usta, na ziemi należy żyć. Lecz powiedz mi z czego?

I zgasty rozradowane oczy, welonem smutku, bólu się okryły, gdzieś utonęły w głębinie serca, które się szlochom w tej chwili ozwało. Zgasty, bo ujrzały przed sobą wygnańczy gościnniec.

Od ilu to lat się już po nim wałęsa... Oto widzi ten moment, kiedy skończył szkołę, kiedy z zapałem przystąpił do warsztatu pracy, kiedy zaczął swą przyszłość wykuwać twórczym młotem. A potem gdy skończył, gdy się już wyzwolił,

wówczas dla niego nie stało pracy tam, gdzie dotąd przebywał. Więc opuścił niskie rodzinnej chaty strzechy i poszedł w świat za chlebem. Nie do jednej już pracowni, nie do jednej też fabryki pukał o zajęcie prosząc. Ale, niestety, wszędzie jedno i to samo słyszał.

— U nas nie znajdziesz pan pracy.

Z rozpaczą więc w sercu szedł dalej przed siebie, by mknąć po tym gościńcu wygnańczym w nieskończoność. Czasem się zatrzymywał, patrzył błędnym wzrokiem i pytał się drzew przydrożnych gorączkowym głosem.

— Dokąd teraz mam skierować kroki?

A drzewa szumiały tylko współczująco. Ot i teraz sosna szemrze mu nad głową tak cicho, tak słodko. A on wzrok utkwivszy w ciemnej, czarnej przyszłości do poszumu wierzby łączy słowa prośby.

— Chleba naszego powszedniego daj nam, Panie! O daj nam, Panie, chleba naszego.

Z odległej zaś wiosce nad bagnistą rzeczką z pustych stodół i komór, ze strychów i śpizarni głód wygląda srogi. Wiosenny przednowek

Polski neopaganizm

Nigdy w Polsce nie zabrakło innowierców; zawsze bowiem obok religii katolickiej, religii tak chlubnie zespolonej i z początkiem i historią tego narodu — miały swych wyznawców i inne obrządki. Ogólnie jednak rzecz biorąc katolicyzm na przestrzeni tego niemal tysiąclecia panował niepodzielnie. Pod jego sztandarami skupiały się wszystkie stany, walczyły nieraz z napływem innych wyznań i w ogrodzie cnót pielęgnowały obok głośnych na cały świat rycerskości, równie znaną polską pobożność. Inne wyznania nie znajdowały dla siebie podatnego gruntu i ustawicznie niemal wegetowały. Raz tylko religia katolicka poczuła się zagrożoną. Było to w czasach reformacji Lutera, kiedy mianowicie protestantyzm zalał cały niemal katolicki świat. Polacy zawsze wrażliwi na nowości i tym razem poszli po linii swych skłonności i na pewien czas zdradzili swój sztandar. Nie na długo wszakże, bo wnet odezwało się serce, szybko opadła mgła, zakrywająca prawdziwe oblicze tej nowej religii i katolicyzm wsparły o swój, rozbudzony w czasie tych walk dynamizm, odświeżony i lepiej zrozumiany — poszedł w przyszłość jako

wszędzie wrył swe piętno, widać na stroskanych obliczach gospodarzy, którzy nie rzadko wyszedłszy w pole miłosnym wzrokiem na bujne spoglądają pola, radując serca przyszłym pięknym żniwem. O, bo z tego żniwa chleb się upieczę smaczny. I uśmiechają się oczy na samo wspomnienie. Lecz w miejsce uśmiechu wnet smutek przychodzi. Hej, chleb, jakże długo czekać. Nie raz jeszcze pasa trzeba będzie ściągnąć. Nie raz się serce jeszcze zakrwawi. Wszak już puste skrzynie, worki i spichlerze. A co jeść dać dzieciom, co do gęby włożyć? Coraz większy smutek zagnieżdża się w chatach. Coraz częściej z ust słychać w cichej, wiejskiej chacie błagalne westchnienia:

— Chleba naszego powszedniego daj nam Panie! O daj nam, Panie, chleba naszego.

To była modlitwa tysięcy ludzi, dobyta z serc stroskanych i biednych. Tę modlitwę słyszał i św. Antoni, bo oto wszedł pomiędzy lud ubogi. A gdzie się zjawił, tam szczęście zakwita, tam znika bieda, nędza i sromota. Tu otarł łezkę, tam smutek usunął, tu przyniósł chleba, tam dostarczył pracy, ówdzie znów zdrowie niejednemu wrócił. I wszędzie sieje radość, ukojenie; wszędzie w sercach roznieca ufność szczerą w Boga. Tak, że z nich teraz nie bolesna skarga, ale hymn dziękczynienia i radości wypływa i w powietrzu triumfalnie rozbrzmiewa:.

*Si pueris miracula, mors, error, calamitas,
Daemon, lepra fugiunt, aegri surgunt sani.
(Jeśli przagniesz cudów, to śmierć, błędy, uciski
[zaświadczają:
Szatan, trąd ustępują, a chorzy zdrowo wstają].*

Eugeniusz Kaparnik
ucz. kl. IV kol.

niepodzielny zwycięzca. W ślad zaś za nim powlokły swój żywot inne wyznania, które pomne na ową chwilę słabości, szukają ustawicznie jego słabych stron, by w odpowiedniej chwili znów przygotować atak.

Ostatnim ogniwem w tym rozrzuconym na wiele wieków łańcuchu ustawicznych niepokojeń, a nawet otwartych napaści na Kościół katolicki — jest młody stosunkowo lecz śmiały i agresywny ruch, zwany neopaganizmem słowiańskim. Ojczyzną jego jest, niestety, Polska. Początki zaś swoje oznacza datą przewrotu majowego. W tych to bowiem czasach od stojącego na usługach rządu Związku Młodej Wsi, albo krócej Siewu — odrywa się spora grupa niezadowolonych tworząc nowe ugrupowanie Związek Młodzieży Wiejskiej R. P., czyli Wici o nastawieniu opozycyjnym, radykalnym i antyklerykalnym.

Masy ludowe uznały je odrazu za swoją chłopską organizację i do niej gromadnie zaczęły się garnąć. I tak powstała nowa organizacja, licząca dziś około 87 tysięcy członków. Posiada ona kilku zdolnych i ruchliwych przywódców jak: Domański, Niecko, Solarz, Skuza, Lutyk, Chrobot i td., którzy potrafili w krótkim czasie narzucić jej odpowiedni kierunek, jeśli chodzi o stronę polityczną, społeczną i religijną. W dążeniach politycznych usiłują jak najbardziej ograniczyć władzę państwową i doprowadzić do wszechpanowania ludu, w myśl słów swojego hymnu:

„Nam żywić zgłodniały świat trzeba
Więc życia panami są my —
Władcami my ziemi i chleba —
Nikt inny — nikt inny, lecz my...

Na miastach spleśniałych, na dworów rupieciach
wstanie nowa Polska...” (W. Skuza).

Nie jest to ostatecznie nic nowego. Ciekawiej się już przedstawia ich program społeczno-gospodarczy, polegający na tym, że ci uszczęśliwicz ludzkości dążą do upaństwowienia przemysłu i handlu, oraz do zniesienia prywatnej własności, by z niej utworzyć kolektwy, czy kolchozy. Gdy się to uda przeprowadzić — zaorze się miedze i wszystko będzie wspólne począwszy od pracy a skończywszy na mieszkaniu i wychowaniu dzieci. Jednym słowem będzie to raj na ziemi, który jak dotąd zdołał „uszczęśliwić” tylko Rosję, zamieniając niezależnych gospodarzy na przykutych do warsztatu, czy pola niewolników...

Najciekawiej jednak przedstawia się strona religijna Wici. Tu mianowicie można zauważyć coś nowego, czego jeszcze nie było — a właściwie z czego naród polski już dawno wyrósł; po prostu nawracają do pogaństwa. W tym jednak natrafili na ogromną przeszkodę — na Kościół katolicki, który świadom swego posłannictwa — nie może przecież pozwolić na wytrącenie sobie z ręki rządu dusz. Zaczęła się więc walka na słowa, pióra i czyny... i walka ta trwa do dziś...

Wiciowcy postawili sobie za główny punkt swego istnienia i programu zniszczyć religię katolicką, poróżnić wiernych z ich duszpasterzami.

zburzyć cały dzisiejszy porządek oparty na zasadach katolickich, by na jego gruzach zaśpiewać pieśń do boga-słońca i matki-ziemi... Ostrza swoje zwrócili w dwu kierunkach — przeciw samej religii i przeciw duchowieństwu; z jednej bowiem strony wyśmiewają i odrzucają wszystko co ma wspólnego z katolicyzmem a z drugiej podważają autorytet księży szkalując ich gdzie mogą i wymyślając na nich najpotworniejsze historie. Punktem wyjścia dla tych zwolenników neopoganizmu jest socjalistyczna zasada, że religia jest rzeczą prywatną. Opierając się na niej żądają oni zdecydowanie usunięcia religii z życia politycznego, społecznego i gospodarczego, żądają wyrzucenia jej ze szkół, zniesienia procesji, kazań i td.

Po tym przechodząc każdą prawdę religijną poszczególnie — odmawiają jej miejsca między prawdami godnymi człowieka. I tak odrzucają objawienie Boże, gdyż „prawdy gotowe nie spływają z przestworza na ziemię” (Niećko); Chrystus nie założył religii, bo on sam w ogóle nie istniał. Dzieje jego wyworowano tylko na bogach greckich. Wobec tego religia chrześcijańska nie ma podstaw i można ją wraz z jej obrzędami, ceremoniami i sakramentami traktować jako rzecz obojętną.

Tymczasem księży ustawicznie kierują uwagę ludzi na te rzeczy, podając recepty, jak zdobyć rozkosze niebieskie, a uniknąć mąk piekielnych; stąd ksiądz jest największym wrogiem ludu. Oto jak zgrabnie przerzucili atak na drugie skrzydło. Rozprawiając się z prawdami religii katolickiej chcą z kolei pogrzebać w opinii tych głównych obrońców katolicyzmu. Gdyby się im to udało,

gdyby lud odwrócił się od kapłanów — wówczas mieliby dzieło poza sobą... ale nie z ludźmi tu tylko sprawa. Nad Kościołem i jego kierownikami czuwa Boska ręka Założyciela i do czasu tylko cierpi bluźniercze zaczepki.

Ale wiciowcy umią nie tylko burzyć — owszem w miejsce odrzuconego chrześcijaństwa potrafili uformować nowe dogmaty, obrzędy i nowe pojęcie moralności. Miejsce Boga zajęły teraz bołki i w biblii wiciowej (Niećko — O wewnętrzne życie wsi) aż się roi od Arionów, Crmuzdów i tym podobnych bałwanów. Podobnie postąpił i postępuje jeszcze więcej zwalczany przez nich hitlerizm, który w miejsce chrześcijaństwa usiłuje wskrzesić kult pragermańskich Wotanów.

Religia wiciowa polega więc na żywym i bezpośrednim stosunku człowieka do ziemi i słońca. Wychodząc zaś z takiego założenia ułożyli sobie wiciowcy odpowiednie święta, jak: święto zwycięstwa słońca nad ciemnościami, święto wiosny, lata, zniwne itd. Najwięcej jednak charakteru religijnego ma to ostatnie święto, bo w czasie niego uczestnicy śpiewają z pobożnym namaszczeniem bałwochwalczą pieśń do matki-ziemi i boga-słońca. Potem prezes staje przy ogniu i mówi o jego sile i mocy tajemnej, o wpływie na życie człowieka i td. Po skończonej zaś ceremonii uczestnicy dzielą się chlebem. Wiciowcy wyznają, że to wcale nie widowisko, tylko głęboki obrzęd świąteczny, modlitewny i namaszczone; jest to jakby wiciowa msza... Z tym wszystkim wiąże się moralność.

I tu zwolennicy nowej religii głoszą, że nie Bóg jest źródłem moralności, tylko człowiek. Ide-

O. EMIL SEROKA

CZASY ŚW. FRANCISZKA Z ASYŻU

10. Św. Franciszek miłośnikiem ludzi i stworzeń.

W dzisiejszych czasach wiele się mówi o kwestii socjalnej, o miłości bliźniego, o pomocy dla biednych. Wiek XX. to wiek postępu, oświaty i zdobyczy; to wiek frontu do wsi, biednych i bezrobotnych; to wiek afiszowanego miłosierdzia, publicznych składek i opodatkowanej pomocy. Ale miłosierdzie wieku naszego nie zawsze bywa miłosierdziem chrześcijańskim, pomocą rzeczywistą, miłością Chrystusową, gdyż miłość w pojęciu Chrystusowym łączy i jednoczy, a dzisiejsze próby rozwiązania kwestii socjalnej wnoszą niezadowolenie, tworzą obozy, wprowadzają walkę klas. Prawdziwy miłośnik ludzi zapewne miałby dziś wiele zastrzeżeń a miłość jego różniłaby się od owej miłości ogłaszanej przez nowoczesnych filantropów. P r z y k ł a d e m w z n i o s ł y m, żywym i niezatartym p r a w d z i w e j miłości ludzi i stworzeń — w przeciwieństwie do pojęć dzisiejszego świata — może być naśladowca Mistrza z Nazaretu, św. Franciszek z Asyża.

Franciszek nie kochał ludzi dla nich samych, nie uznawał li tylko sympatii, ani też nie starał się o poklask u świata, jak to czynią niektórzy dzisiejsi niby przyjaciele biednych. Jego miłość ku bliźnim była inną, bo wypływała z gorącego ukochania Boga. Franciszek umiłował ludzi, ukochał świat, bo kochał i miłował Boga — lecz jakże różni się bardzo ta miłość jego od owej, jakiej hołdowali dawniejszych i nowszych wieków asceci: Franciszek ukochał stworzenia nie dlatego, by przez to podobać się Bogu, ale dlatego, że są pięknymi dziełami Bożej mądrości. Z tego więc powodu jego nawrócenie do życia bardziej doskonałego nie wykopało przepaści pomiędzy nim a światem, nie wzniosło barier pomiędzy jego dążeniami a szarym życiem ziemskim — ono zmieniło jeno jego pogląd na świat, nauczyło go prawdziwej oceny rzeczy i stało się źródłem niepojętej równowagi i wesela. Kto chce poznać Franciszka, niech pamięta o tym, że Franciszek kochał życie, ale kocha je w sposób nadprzyrodzony i, że dla Chrystusa wyzbywa się tego życia, chociaż go nie depce, nie bezceści i nie pomija. Kto by przyjmował tylko pierwszą część twierdzenia, wyobraziłby sobie Franciszka jako poetę sentymentalnego, który żyje fantazją, tęskni za utopią

asem moralności wiciowej jest nieskrępowanie żadnymi przepisami, tj. całkowity autonomizm moralny. Hasłem zaś naczelnym i podstawą tej moralności jest powrót do natury, gdyż człowiek jest tylko przejawem przyrody i ściśle z nią związany. Stąd propagują ograniczenie potomstwa, jako coś wcale nie-diabelskiego i legalizują rabunek cudzej własności bez odszkodowania...

Tak więc moralność wiciowa jest cofnięciem się kultury i ludzkości do mroków pogańskiego barbarzyństwa. Społeczeństwo zaś mając taką religię i żyjąc życiem natury — zamienić się musi w stado zdziczałych zwierząt, które przed wzajemnym wymordowaniem się będzie można wstrzymać tylko batem, bo liberalizm moralny musi doprowadzić każde społeczeństwo do rozprężenia, demoralizacji i upadku. Dlatego Ks. Prymas Hlond przestrzega społeczeństwo przed tą nową herezją, nazywając ją najpotworniejszym szaleństwem czasów obecnych, która na gruzach katolickich świątyń chce odbudować kult słowiańskich bożków — „bo złe to jest ziarno, wrogi to siew, z którego ma wyrósć mienawisć do Boga i Kościoła.

Fr Bogumił Migdał
b. kolegiasta.

Poświęcenie gimnazjum OO. Bernardynów w Ł O D Z I

Już długo przed tym dużo słyszałem o nowej naszej placówce w Łodzi i o poczynaniach tamtejszego przełożonego, O. Anastazego Pankiewicza. Po cichu myślałem sobie, że warto by zoba-

i szuka nieuchwytnego ideału; gdybyśmy zastosowali jedynie drugą część zasady stworzylibyśmy obraz Franciszka nadmiernie umartwionego, nad wyraz smutnego, strasznie wyniszczonego, bardziej podobnego do malowidła stylowego o pokroju bizantyjskim, niżli do człowieka, który kiedykolwiek przebywał na świecie. We Franciszku natomiast jedno i drugie łączy się, jednoczy, uzupełnia i czyni go człowiekiem Bożym i ludzkim zarazem.

Jak światło słońca oświeca świat cały, a promykami swymi dociera do poszczególnych rzeczy — tak i miłość Franciszkowa obejmuje wprawdzie wszystkich i wszystko, ale w zastosowaniu zatrzymuje się na jednostkach. W imię takiej miłości Franciszek jednakowo będzie kochał trędowatego grzesznika, który przeklina, jak i ubogą wdowę staruszką, co nie śmie nawet prosić o jałmużnę; tą samą opieką otoczy wysoko urodzoną dziewczynę, porzucającą dom rodzicielski i robotnika, który złorzeczy swemu chlebobdawcy; jednakowo zechce przekonać dziecko gołąbki dzięki sprzedające, jak i kupca starszego, prowadzącego owieczki na sprzedaż; w ten sam sposób będzie pouczał rycerza, u którego zamieszkał i dygnitarza,

czyż jak tam te „Doły” (nazwa przedmieścia, gdzieśmy się osiedlili) wyglądają. Niespodziewanie marzenia te miały się prędzej urzeczywistnić, niż się spodziewałem. Otrzymałem bowiem zaproszenie na poświęcenie całej tej instytucji, które się miało odbyć w dniu 15 maja br. Dostawszy pozwolenie na wyjazd od O. Prowincjała — wszedłem na pociąg i jazda. W drodze spotkałem N. O. Prowincjała O. Metodego Sikorę, który ze swoim sekretarzem, O. Tomaszem Streckerem, również w tym celu jechał do tego polskiego Manchesteru. Podróż była więc przyjemna. Późno w nocy stanęliśmy u celu. Cały gmach obłany seledynowym światłem księżyca, przedstawiał się imponująco. Nie czas jednak było na podziwianie, bo byliśmy zdrożeni i senni.

Na drugi dzień, tj. w dniu 15 maja, pogoda była wspaniała, jak na zamówienie. Kiedy wyszedłem na podwórze, zobaczyłem wielki 3-piętrowy gmach, który tonął w powodzi flag i festonów. Po odprawieniu Mszy św. usłyszałem nagle propozycję, by wygłosić odpowiednie, okolicznościowe kazanie. Nie bardzo się tym ucieszyłem, ale nastrój był taki, że nie sposób było odmówić. To też w czasie uroczystej sumy, którą wśród asysty celebrował N. O. Prowincjał na intencję nowej instytucji, wygłosiłem to, co P. Bóg poddał i co serce podyktowało.

Po sumie nadjechał Najdost. Arcypasterz diecezji łódzkiej Ks. Bp. Wł. Jasiński. Po uroczystym wprowadzeniu Go do kościoła przemówił miejscowy O. Gwardian a później sam Arcypasterz. Mottem przemówienia były słowa Ewangelii: „Odchodzę, i nikt mnie nie pyta, dokąd

który go z domu wyrzucił; sułtana, który go może skazać na śmierć okrutną, babuńkę, która przed nim otwiera swe serce, żali się i płacze, jak i burmistrza, który prowadzi zaciętą walkę z biskupem. Jednaką darzy życzliwością mieszkańców rodzinnego Asyża, jak i Muzułmanów krańce Europy zamieszkujących; wolne miasta italskie podzielone na wrogie sobie stronnictwa, jak i niegościnnie naród niemiecki, który niezasłużoną chłostą przyjął jego synów. Każdy kraj jest mu bliski, każdy naród drogi, a jednak posiada Franciszek tylko jedną Ojczyznę, jedno miejsce najbardziej ukochane, najmiłsze, najdroższe, miasto Asyż, kolebka jego zakonu, miejsce jego kwileń dziecięcych i ostatniego tchnienia ulatującego życia.

Przy zachodzących promieniach słonecznych podnosi ręce, modli się, płacze i błogosławi — a błogosławił mieszkańcom Asyża, swoim krajonom, jednej i tej samej ojczyzny synom.

Tak wszechstronna a zarazem tak skonkretyzowana miłość Franciszkowa nie ogranicza się tylko do ludzi; zasięg miłości jego jest szerszy, uważa bowiem za bliźnich dzieła Boże, rozumu pozbawione i nazywa je braćmi i siostrzyczkami

idziesz?”. Nowa placówka, której mam uroczystego poświęcenia dokonać — mówił Ks. Piskup — ma ludziom wskazywać, jaką jest droga Chrystusowa”.

Następnie procesjonalnie udaliśmy się do gmachu gimnazjalnego. Razem z Ks. Biskupem odmawiającym modlitwy, obchodziliśmy piętro po piętrze, salę po sali, i teraz dopiero mogliśmy podziwiać ogrom całego gmachu a przy tym przepych całego urzędnictwa. Zwiedzałem wiele zakładów tego rodzaju, nigdzie jednak nie znalazłem tylu i tak bogatych pomocy naukowych, gabinetów, pracowni i t.d. A przecież to dopiero początki a wszak to dopiero część drobna tego, co będzie. Z jednej strony czułem pewnego rodzaju dumę, że to przecie nasze, zakonne..., z drugiej jednak strony czułem się przybity i mały, kiedy sobie wspominałem biedną Radecznice i skromniutki w niej i ubożuchne — wobec łódzkich — zbiory...

Nie było jednak czasu na długie rozmyślanie, bo już wołano do auli na akademię. Po odśpiewaniu przez chór gimnazjalny okolicznościowej kantaty. Pierwszy przemówił O. Gwardian, zaznaczając, że Polska zmartwychwstała stworzyła już silną armię, tworzy swój przemysł, buduje Gdynię, by mógł się rozwijać handel, najgorzej jest z oświatą. Chociaż i tu dużo zrobiono, ale daleko jest do doskonałości. Nowo poświęcone gimnazjum ma w małej części tym brakiem zaradzić. Po nim zabrał głos dyrektor zakładu Dr Kalisz, następnie Wizytator Kuratorium O. S. Warszawskiego p. Skibiński, a dalej przedstawiciel Koła Rodzicielskiego p. Kanicki i uczeń kl. II. Stachecki

a uczeń kl. I. Lewy wygłosił okolicznościowy wiersz.

Na zakończenie zabrał głos N. O. Prowincjał Metody, który też odczytał pismo gratulacyjne N. O. Generała, nadesłane z Rzymu i JE. Ks. Biskup, nawołując do harmonijnej współpracy — a hymn narodowy odśpiewany znów przez chór, dopełnił uroczystości. Teraz wszyscy udali się do sali posiedzeń Koła Rodzicielskiego, gdzie suto zastawione stoły czekały z zasłużonym posiłkiem. I znów wśród ożywionej rozmowy — zaczęły się przemówienia, toasty, gratulacje i życzenia. Obok poprzednich mówców, którzy już przemawiali w czasie akademii, zabierali głos przedstawiciele miasta, wojskowości, kapituły łódzkiej i inni. Wszyscy wyrażali nadzieję i przekonanie, ugruntowane na tym, co już uczyniono; że zakład ten stanie się kuźnicą mocnych charakterów, które tak bardzo są potrzebne i Kościołowi i Ojczyźnie. Nastrój był naprawdę podniosły.

Nieopodal klasztoru i gimnazjum łódzkiego rozłożyło się miasto umarłych — cmentarze, skąd płynnie przestroga „memento mori”. Nowa ta jednak instytucja, nie zapominając o tym napomnieniu zmarłych — woła również głośno: „memento vivere!” I jest nadzieja, że będzie i ona sama żyła i życie Boże szczepić będzie swoim alumnom „Plurimos annos”!

S W Ó J.

**Każdy grosz złożony jako wolny datek
na GŁOS KOLEGIALNY
staje się dla ubogich wychowanków
Kolegium wielką pomocą.**

swymi. Drogie są mu wróble i pszczoły, które żywi przez zimę; owieczki, które broni przed niehybną śmiercią; przepiórki, którym ściele gniazda; robaczek, którego umieszcza w miejscu przed stopą ludzką zabezpieczonym; rośliny, których nie pozwala wycinać i płomyczek ognia, którego nie chce zgasić.

Dla ludzi i stworzeń niższych, dla wielkich i małych ma Franciszek to samo serca uderzenie — i jest ono nowe, bo wnosi na świat nowe apostołstwo; apostołstwo czynu, zdecydowanej pomocy. Potrzebuje potwierdzenia swych poczynań — idzie więc do Rzymu, staje przed papieżem prosty, naiwny, prawie jak dziecię, a równocześnie odważny i pewny jak wódz; rozumie niepospolite powołanie Klary — decyduje się jednak dopomóc jej i opiekować się nią, mimo złości rodziny i potężnych wpływowych znajomych; widzi upadek wypraw krzyżowych — idzie tedy na Wschód, by na miejscu zapoznać się z możliwościami oswobodzenia, lub przynajmniej opieki nad miejscami świętymi. Powołany jest do czynu w imię wrodzonych zdolności, które są właściwością władczych, genialnych umysłów. Jako człowiek silnej woli i niespożytej energii nie traci ani chwili czasu, nie zeniedbuje żadnej okazji, by ją wy-

zyskać dla swych planów i celów, ze swych rąk nie puści żadnego człowieka, którego by nie natchnął wielką swoją wiarą. Siła jego apostołstwa miłości zasadza się na pokorze, wnikliwości, dobrej chęci, dostosowaniu się do poziomu swych słuchaczy i na wyrozumiałości, by przez to zmienić i do Boga doprowadzić tych, z którymi obcuje. Rycerze i damy z wyższych sfer stanowią warstwę uprzywilejowaną i śnią tylko o miłości i o sławie. Franciszek idzie do nich z pieśnią trubadura na ustach i wieńcem laurowym w rękę; złodzieje w Montecasate przymierają głodem. Franciszek udaje się do nich z bochenkiem chleba i dzbanem wina; proboszcz z Rieti niepokoi się o swą winnicę zdeptaną przez ludzi, słuchających Pokutnika z Asyza, Franciszek go uspokaja i zapewnia, że zbiór ze zniszczonej winnicy nie zawiedzie.

Franciszek kocha serca ludzkie i umie się do nich dostać, ale o ile łagodnie postępuje z nieznanymi sobie — o tyle surowo i srogo obchodzi się z tymi, których zna i prowadzi po drodze większej doskonałości. Biedne Pamienki od św. Damiana pragną z ust jego usłyszeć słowa pociechy — nie dostąpią tego zaszczytu i wystarczy im posypanie głowy popiołem i śpiew psalmu Dawidowego „Miserere”; brat Rufin nie znosi

Jan Matejko

(W 100-tną ROCZNICĘ URODZIN)

Urodził się w Krakowie 30. IV. 1838 w domu przy ul. Floriańskiej, tu spędził całe życie i tu zmarł w 1893 r. w dniu Wszystkich Świętych. Ojciec jego, Franciszek Ksawery, pochodził z Czech i osiadł w Krakowie, jako nauczyciel muzyki, na 20 lat przed przyjściem syna na świat. Matka Mistrza była krakowianka — Joanna Rosberg. Już od młodości czuł Jasio zamiłowanie do malarstwa, a mając zaledwie 15 lat tworzy pierwsze swe kompozycje: *Carowie Szujscy* i *Wjazd H. Walezjusza do Krakowa*. W latach następnych, dzięki wrodzonemu, ogromnemu geniuszowi i wielkiej benedyktyńskiej pracowitości, połączonej a twórczością tytaniczną, Matejko staje się znakomitym artystą a zarazem obywatelem.

Cały swój geniusz, całe swe życie poświęcił Matejko tworzeniu obrazów historycznych z dziejów naszych.

Celem jego było szukać prawdy w historii, odkryć rany i błędy, wiedział bowiem, że jedynie w poznaniu prawdy leży ratunek i zbawienie.

I prawdę tę odtworzył.

Przedstawił nam w swych obrazach z niezrównaną świetnością chwile ciężkie, żmudne i gorzkie, chwile zaślepienia narodu, dążącego do niechybnej zguby.

Ale nie o samo smaganie błędów chodziło Matejce. Drugim jego ideałem było sławienie dziejów Polski dla podniesienia ducha narodu, dla przypomnienia świata, czem niegdyś byliśmy i jakie są nasze dziejowe zasługi.

Matejko — to osobistość pod każdym względem wyższa, umysł ogarniający szerokie widnokręgi, serce kochające, charakter wyjątkowej czystości i wielkoduszności. Był pokorny wobec Boga, lecz niezmierna gwałtowność jego uczuć wybuchła niekiedy brzemieniem oburzenia wobec małości ludzkiej. Każda ważniejsza sprawa zapalała go i pobudzała do działania.

samotności — niech idzie głosić kazanie bez habitu; brat Maseusz chce być kaznodzieją — niech będzie odźwiernym klasztoru; jeden z braci gromadzi mamonę — niech ją ustami swymi złoży na śmietniku; jeden nowicjusz myśli, że jest uczonym — niech się nauczy od braci laików potrzebnej mądrości modlitwy. Czyni to Franciszek w imię zasady, że kto raz wybrał ideał dla siebie, niech przy nim pozostanie, niechaj się nie cofa, ale niech idzie przez życie i, choćby przez przełamanie siebie samego, niech ideał realizuje.

Franciszek kochał bliźnich, kochał stworzenia, kochał miłością czynną, która nie zwykła się cofać — jednych otaczał miłością łagodną, innych wypróbowaną, ciernistą, ostrą, ale nie mniej wielką, nieograniczoną.

Na podstawie i według dyspozycji „P. Francescanesimo P. A. Gemelli'ego.

Hasłem jego było: nie sztuka dla sztuki, choćby najszlachetniejszej, ale sztuka dla najwyższych celów narodu i ludzkości — zmartwychwskrzeszenie zmarłej przeszłości i postawienie jej na pomniku. Całe społeczeństwo polskie karmiło się widokiem jego obrazów, umacniało się na duchu. Patrząc na postacie jego obrazów poznajemy nie tylko ich powierzchowność odtworzoną ze zdumiewającą w y p u k ł o ś c i ą i z drobiazgową wiernością, ale i dusze ludzkie, ich temperament, uczucia, myśli i charaktery.

Jego postacie nie są aktorami, udającymi uczucia, one żyją, oddane z całym temperamentem, z uczuciami i namiętnościami swymi. I dzięki temu, dzięki temperamentowi, z jakim przedstawia swe sceny historyczne, w dosadnej charakterystyce postaci i scen całych, zawdzięcza on swą sławę i popularność. Olbrzymia jego spuścizna artystyczna, bo wynosząca 240 obrazów olejnych, w tym kilkanaście olbrzymich, wynoszących 30—40 metrów kw. i cały szereg szkiców i akwarel, jest owocem niezmiernie, iście mniszkiej pracy. Całymi miesiącami zamykał się, całymi latami unikał towarzystwa i malował od rana do nocy. Niepodobna tu nie tylko szczegółowo omawiać, ale nawet wyliczać dzieł, które Matejko odtworzył w ciągu swojego 55-letniego żywota; wspomnę tylko o najważniejszych jak: *Piotr Skarga*, *Batory*, *Grunwald*, *Sobieski*, oraz z religijnych o *Królowej Korony Polskiej* i *Zmartwychwstaniu*.

Matejko jest jakby słońcem, które oświetliło sztukę polską w drugiej połowie XIX wieku, rzucając w czasie naszej niewoli dokoła imienia polskiego szerokie kręgi blasku.

Kiedy więc w bieżącym roku i miesiącu przypada setna rocznica jego urodzin, skłonimy głęboko czoła przed jego twórczym duchem, składając kornie hołd jego świetlanej pamięci!

Pomoce: „Malarstwo w Polsce“ i H. Bartkiewicz „Matejko“.

PICTOR DESIDERIO.
ucz. kl. IV. kol.

Z wędrowki po okolicach Radeczniczy

C z e r n i ę c i n

Kiedy majowe słońce zacznie przygrzewać, różniej się robi człowiekowi na duszy.

Sądzę, że nie tylko my, ale wszyscy doznali kiedyś tego wrażenia, że w jasny, letni dzień coś człowieka „podnosi”, coś każe oderwać mu się od ksiąg mądrości i biec radośnie przed siebie.

Jaki piękny jest wtedy otaczający nas świat! Raduje nas każdy kwitnący kwiatek, każde zielone źdźbło trawy, raduje nas to wszystko, na co w pochmurny dzień nie zwrócilibyśmy wcale uwagi. Dlatego też chcąc choć na pewien czas zapomnieć o różnych kłopotach życia studenckiego, poczuć się lekkim i wolnym, jak wiszący w przestworzach orzeł, urządziliśmy sobie szóstkę, a więc: Jędrzek Cygan, Franio Szypuła, Staszek Boryś, Genek Kaparnik, Jasio Ćwikła i ja, małą

wycieczkę krajoznawczą do Czernięcina. A zresztą, jakby to wyglądało, być w Kolegium przez 5 lat i nie znać jego okolic, jej pamiątek, piękna i osobliwości a nade wszystko ludu.

Cóż to za nietakt byłby z naszej strony!

* * *

Ze śpiewem i radością wyruszyliśmy po południu (14.V.) w sobotę do Czernięcina, miejsca pobytu Szymona Szymonowicza, poety Zamojskiego.

Dzień był cudny.

Na wypogodzonej bani niebios wędrowało ciche słońce, pełne złotego uśmiechu, jak nasze serca.

— Wymarzony dzień — odzywa się Jędrak, ocierając pot z opalanej słońcem twarzy — piękny, nie ma co, jestem zadowolony z obranej przez nas trasy... coś człowiek zawsze pozna, wykształci umysł i serce, rozwijając w duszy poczucie piękna i budząc głęboką miłość Ojczyzny przez zetknięcie się z jej podłożem — macierzą — ziemią.

— A ja, wiecie, dlaczego cieszę się? — zagadnął Staszek. Oto dlatego, że będę mógł choć na chwilę wejść w lud, poznać choć ogólnikowo jego życie, zapoznać się z jego duszą wiejską. Tyle się bowiem dzisiaj mówi: frontem do wsi, wszędzie się dyskutuje nad bolączkami chłopów, dlaczegóż ja nie mógłbym zbadać tego na miejscu?

— No tak, bardzo pięknie z twojej strony, jak się nie pomylę, gotów jesteś zostać drugim Judymem, a Genek napewno nie pominie cię w swych powieściach, o których tyle marzy. To pisarz zawołany i z pewnością przyniesie chlubę naszej Ojczyźnie i Prowincji — nie ma co.

— Bardzo ci dziękuję za komplement, ale wiesz co, mówmy o czym innym, tym bardziej, że ledwo nogi ciągniemy po tej autostradzie pełnej wyboi i piachu. Zaśpiewajmy coś, dobrze?

— Dobra, dobra, śpiewamy, ale co?

— „Raduje się serce”, to jeszcze najlepiej.

— Zgoda! Brawo Jasiu! Raz, dwa, trzy...

I za chwilę w ciszę, podcbną do ciszy panującej w świątyni, w przeźrocyste, drżące powietrze runęły salwy pieśni legionowej. Mijałimy na polach stojące chaty wiejskie, drzewa i krzyże przydrożne, powalone sędziwym wiekiem.

Szliśmy zaśpiewani i nawet nie spostrzegliśmy, jak minęliśmy Gruszkę, Nową Wieś i weszliśmy na szosę turobińską, przy której właśnie opodal stoi duży dwór ordynacji zamojskiej, cel naszej podróży.

Pieśń umilkła.

Wędrowaliśmy w nabożnym milczeniu, pojąc duszę w zdrojach czaru.

Przed nami wylaniały się coraz to nowe widoki a słowa i uśmiechy, które znowu pojawiły się na spieczonych ustach, podobne były do tęczy, zawieszonych nad sercem malowanej promieniami miłości i zachwytu.

Nasz malarz kolegiálny ciągle tylko wzdychał upajając swą romantyczną duszę panoramą skołatanych wiatraków, na tle plastru wosku rozkwitającego rzepaku.

Wzdychał, wzdychał, patrzył, przystawał aż na koniec pchany niepowstrzymaną ciekawością ujrzenia od wnętrza tych młynów polnych, zaproponował nam zwiedzenie jednego z nich, właśnie stojącego nieopodal szosy, starego, skrzypiącego, steranego nieustannym kręcieniem się.

* * *

Weszliśmy...

Stara kobieta, właścicielka wiatraku przyjęła nas z życzliwością i uprzejmością.

Oprowadzała nas wszędzie, udzielała objaśnień, tłumaczyła do czego każdy przedmiot należy; wszystko z jak największą dokładnością.

— Przepraszam, czy można wiedzieć ile kosztuje budowa takiego wiatraku? — zapytałem.

— Około 600 zł, proszę pana — odrzekła.

— Aha, ale dochód jest niezgorszy?

— Duży, nie duży, ale na jakie takie życie wystarczy. W tym cała bieda, że nie mamy ani morga ziemi. Żeby mieć choć móg, choć dwa, jużby było lżej, było by gdzie krowinę popaść, coś zawsze można by zasiać..., żyło by się... A tak, proszę pana, **życie moje to jedno, wielkie, długie konanie.**

Słowa te zrobiły na mnie jakkieś dziwne wrażenie i wprawiły mnie w głęboką zadumę.

Przed sobą miałem „biedę“ wiejską, jakich miliony. Stałem tak pochylony ze spuszczoną głową, jak upolowany przed sędzią winowajca, nie śmiąc podnieść głowy i spojrzeć przed siebie.

Po chwili znów ciągnęła dalej.

— Ale różnie to bywa na tym Bożym świecie. Jeden ma więcej, drugi mniej, jeden opływa w dostatkach a drugi cierpi głód... biedę...

Spojrzałem, w oczach wieśniaczki zabłysła łza...

— Żyje się, jedna nadzieja, pociesza się, jak może, bo gdyby nie to, byłoby źle. Czasem mliwo jest większe i zarobiłoby się coś więcej, a tu jak na złość, wiatr ustaje i po nadziei... a żyć trzeba i podatki płacić.

— Ile płacicie podatku? — zagadnąłem.

— 100 zł na rok.

— Zdaje mi się, że jak na zarobek, jaki się ma z tego wiatraka to dużo. Ale wywiązujecie się wciąż z obowiązku?

— Nie zawsze. Czasam i sekwestrator zawita do mieszkania, a co wtedy następuje to nie trudno się domyśleć. Ot dziś, widzicie panowie, już trzecia a mąki zaledwie kilka miarek, no i ile to można zarobić, z czego płacić, żyć?

— Ale nie jedni my — ciągnie dalej młynarka — tak żyjemy, jest nas więcej. Nie czuję się opuszczoną, bo kto z Bogiem żyje, z tym i on przeżywa.

Spojrzałem mimowoli na słup środkowy wiatraka... Obraz N. Marii P., wycięty z Przewodni-

ka, zakurzony pyłem mąki wisiał, tuż obok jakiś inny, okryty śnieżną bielą.

No tak, ciężkie życie, nie mające przyjemności ni uśmiechu. Ale cóż robić... i Chrystus cierpiał.

Postaliśmy chwilę, wpatrzeni w siebie, z pytającym wzrokiem. Słońce zaszło na prawą stronę okienka wiatraku.

— Franiu, która godzina?

— Czwarta dochodzi, będziemy się zabierać, gdyż to zaledwie pół drogi!

— Więc idziemy! W drogę!

— Dziękujemy bardzo pani, do widzenia!

Do widzenia panom!

* * *

Po chwili znów szliśmy szosą naprzód. Przed nami stał bogaty dwór z licznymi zabudowaniami i przybudówkami. Widać, że dobrze jest prowadzony; oziminy wspaniałe, zasiewy wiosenne pokryte gęstym, ciemno-zielonym kożuchem. Opoдал w ogrodzeniu piękne rumaki, parskające, w pełnym galopie. Wszystko tu wre, wszystko kipi życiem!

Mijamy czworaki i kuźnię i wchodzimy do ogrodu, w którym stoi dwór i dom Szymonowicza.

Dom jest budowany według dawnego stylu, z belkami wystającymi na zewnątrz i jednym biegnącym wzdłuż domu. Dom ten modrzewiowy znajduje się pod czułą opieką, jako zabytek regionalny. Objaśnień udziela nam łaskawie sam p. Dziedzic. Wchodzimy do wnętrza — wita nas zimny chłód. W jednej ubikacji palenisko, piec, rupiecie, w drugiej mieszkanie służby. Jest dość charakterystyczny komin staropolski, który dochował się do naszych czasów, mimo, że dom liczy przeszło 300 lat. Więcej nie ma nic szczególnego. Należałoby wspomnieć o napisie łacińskim na belce środkowej mniej więcej w takim sensie: „Bóg wita wchodzącego i żegna wychodzącego”, oraz data rok 1717.

Wychodzimy z myślą skierowaną i utkwioną ciągle w postaci Szymonowicza. Jeśli chodzi o wieś Czernięcin nabył ją Szymonowicz wraz z Dziadkową i Pstrągowa Wola (obecnie Żurawie) od Zamojskiego 4. III. 1598 r., lecz na stałe nie zamieszkał, ponieważ narazie zajmowały go sprawy społeczne i kulturalne, związane z Akademią Zamojską.

Na stałe zamieszkał w Czernięcinie dopiero w 1600 r. Poeta zastał dworek w lichym stanie, przeto po zapoznaniu się z gospodarką miejscową, w 1607 r. zamierza odbudować swoją rezydencję.

Zastał tam tylko kościółek św. Katarzyny, zbudowany w 1326 r. przez dziedzica Dobrogustawa a odnowiony dopiero w 1857 r. Pomimo pośpiechu poeta ukończył budowę dworku w 1604 i w nim to powstały sielanki, jak: Wesele, Kiermasz, Wierzby, Ślub, Kołacze, Zalotnicy, Pastuchy i Żeńcy, które są odbiciem przyrody i obyczajów ludowych w formie regionalnej.

Umarł w Czernięcinie, dnia 3 maja 1629 r. a zwłoki sprowadzono do Zamościa i złożono w podziemiach kolegiaty.

Tyle z literatury.

* * *

Trzecim, jakby etapem naszej wycieczki, a ściśle mówiąc drugim był kościółek i cmentarz. Cmentarz dość duży z wieloma pomnikami (na uwagę zasługuje pomnik ks. Fr. Bramskiego, szambelana papieskiego, kanonika kapituły kolegiaty zamojskiej, dziekana i proboszcza w Lubartowie), wyrabianymi przez okolicznych „dłuciarzy” i dwoma kopcami, jeden, jak mówią ludzie, ku czci Szymonowicza, wyraźnie oddziela się od reszty zieleni.

Kościółek drewniany ubożuchny, ale czysty. Czystość i skromność wiejska zaimponowała nam. Po odmówieniu „Adoramus...” idziemy w powrotną drogę, gdyż ludzi zebrało się już sporo na nabożeństwo majowe.

Wracamy na kładkę...

Lekcja przy otwartym oknie

Dwonek... koniec wszystkim zabawom, grom i rozrywkom. Ostry i przez niektórych zniechęcony głos dzwonka przerwał wszystko.

Trzeba rzucić piłkę, kiczki, huśtawkę. Lecz jak to z trudnością przychodzi... Przy końcu „paki” piłka sama latała i wpadała w ręce... kiczki zrywały się z jamek i leciały aż za pięćdziesiątkę. Huśtawka sama unosiła się w górę, aż słupy trzeszczały. I jakżeż to wszystko rzucić do tego przy tak pięknej pogodzie. Twarze graczy co chwila błyszczały kroplami potu, ale lekki wietrzyk zaraz je zdmuchwał. Grającym w kiczki również robiło się ciepło, ale wnet gasił je krzyk „skuty”... A jak przyjemnie było się przechadzać w czasie rekreacji w cieniu trzystuletnich lip. I te wszystkie przyjemności przerwał punktualny, nie dający się niczym zatrzymać głos dzwonka.

Z początku, jakby go nikt nie słyszał... Jakby się wszystkim śniło... ale nie był to sen, lecz prawdziwa rzeczywistość. I już chwilę po dzwonku, a w salach jeszcze pustka. Dopiero pierwsi „kujoni” grzebią między książkami, ale i do nich dziś nie uśmiechają się zbyt książki...

„Przedzaj brać książki!” — woła gdzieś z kąta senior. Ale komu się tam śpieszy. Przecież za oknami tak pięknie... Kilka wróbelków usiadło na drzewie na wprost okna i wołają „pójdź tu... śpiewaj i lataj z nami.” A miły cień drzew i piękna, zielona trawa, jak to wszystko pociąga każdego.

Krótką modlitwa... — „Siadać i spokój!” — już ostrzejszym tonem zaczyna „śpiewać” nasz senior. Wszystko siada. W sali zalega wzdłużna cisza. A za oknami na podwórku, w ogrodzie, w parku, drzewa tak szumią. A wilgi i inne ptaszki zawodzą swe trele raz w takt skoczego oberka, drugi raz w takt powolnego poloneza. Któż pozostałby niewrażliwy na owe melodie?... Któżby się nimi nie zachwycił?... Któżby się nimi nie upajał?... Pod wpływem tych symfonii natury, niektórzy wpadają w taką zadumę, że zapominają o Bożym świecie i o książce przed nimi rozłożonej. A po chwili czują, że powieki ich takie ciężkie, ani ich podnieść, same opadają... A w sali cisza, słychać tylko miarowe tykanie zegara i szelesty kartek, które również wpływają usypiająco na niektóre wrażliwsze natury, niczym lekarskie środki usypiające.

Informacje dla wstępujących do Zakonu, czy Kolegium OO. Bernardynów

Do Zakonu OO. Bernardynów z prośbą o przyjęcie wprost do Nowicjatu zgłaszać się mogą: 1) na kapłanów: młodzieńcy, odbywający studia uniwersyteckie, jako też ci, którzy ukończyli ośm klas gimnazjalnych starego typu, albo cztery klasy gimnazjalne nowego typu. — 2) Na braci zakonnych: młodzieńcy na ogół po ukończonej służbie wojskowej, mający wedle możliwości jakiś praktyczny zawód.

Prośbę o przyjęcie z dołączeniem metryki, zaświadczenia bierzmowania, świadectwa moralności od Ks. Proboszcza lub Ks. Prefekta, świadectwa szkolnego, czy zawodowego, oraz świadectwa zdrowia należy kierować pod adresem: **N. O. Prowincjał OO. Bernardynów, Lwów OO. Bernardyni.**

B. Do Małego Seminarium, czyli do Kolegium w Radecznicy, zgłaszać się mogą: 1) Chłopcy, którzy ukończyli I, II lub III kl. gimnazjalną nowego typu z postępowaniem przynajmniej dobrym i mają szczerze postanowienie poświęcenia się na służbę Bożą, jako przyszli kapłani, w zakonie OO. Bernardynów. Uczniowie zakładów prywatnych, nie mających pełnych praw publiczności, muszą uprzednio złożyć egzamin wstępny do odpowiedniej klasy.

2) Przyjmuje się też do Kolegium chłopców, którzy w bieżącym roku ukończą VI lub VII kl. w szkole powszechnej z postępowaniem przynajmniej dobrym. Chłopcy ci muszą zdać egzamin wstępny w Radecznicy lub też w jakimkolwiek gimnazjum państwowym, skąd powinni otrzymać zaświadczenie Wynik egzaminu powinien być przynajmniej dobry. Od wyniku tego egzaminu uzależnione jest przyjęcie do Kolegium.

Opłata za utrzymanie w Kolegium przez czas studiów gimnazjalnych wynosi miesięcznie 40 złotych. Podania o przyjęcie do Kolegium wnosić należy najpóźniej do 30 lipca br.

Podania należy kierować pod adresem: **Kolegium Serafickie OO. Bernardynów, Radecznicza, Lub.**

Na odpowiedź załączyć zawsze znaczek pocztowy za 25 groszy.

Kładka dość prostej budowy, pełna dziur i to często na całej szerokości, nie sprawia przyjemności idącemu, mimo, że dzieci, jak mogłem zauważyć, dość zgrabnie i nawet z pewną przyjemnością skakały z deski na deskę.

Droga powrotna nie biegła przez Nową Wieś i Gruszkę, ale dla urozmaicenia przez Wólkę Czerniecińską i Zaporze.

Słońce już kładło się na lewy bok, senne, drzemiące, gdy z dała ujrzeliśmy klasztor w aureoli światła elektrycznych. Pięknie wyglądał, precudnie i dlatego, nie czując się na siłach, nie kuszę się o opisywanie.

Po drodze spoczywaliśmy co 20 metrów, gdzie kopiec albo płot, już leżymy. Trochę Franek i Genek złościł się, cóż kiedy nogi ważyły po 100 kilogramów.

Kołodziejek Leopold
ucz. kl. IV kol.

Ten i ów przetaił oczy, aby zrzucić niewidzialny ciężar z powiek, poprawił się, coś mu się przypomniało, że to już egzamin tuż tuż, spojrzął na zegar i doszedł do przekonania, że to nie opłaca się zaczynać lekcji, gdyż za kilka minut dzwonek na przerwę. „Teraz się prześpię, ale za to na drugiej godzinie wszystko nadrobię.” Oparł się wygodnie i zasnął „snem spokojnych”. A zegar biegł, wreszcie stanął na mecie i zaczął dzwonić na znak, że już czwarty raz na to miejsce przychodzi.

Zaraz też odezwał się dzwonek i zbudził wszystkich „zbyt pilnych”. Ach, ten dzwonek, on chyba nigdy nie spał, bo nie wie jaki to sen słodki, bo gdyby wiedział, nie miałby litości budzić tak „ciężko spracowanych”.

OBSERWATOR.

Kot Burek

Trudno mi powiedzieć ile miał lat. W każdym razie był to stary kot, bury, centkowany, podobny do małego rysia z okrągłą głową i trójkątnymi uszami, którymi poruszał ilekroć, młodsza siostra wołała nań: „bura”; miał czyste zielone oczy z czarnymi źrenicami zwężającymi się do cienkich, niemal ledwie widocznych kresek, gdy brałem kota w ręce i kazałem mu patrzeć na słońce. W nocy za to, oczy te śniły seledynowym światłem fosforyzując w tajemniczych zaułkach nocy, czekały na łup... Obok nosa sterczały jak u dawnego żandarma dwie wiechy wąsów, obcinane przez nas od czasu do czasu z braku innych psot, zwłaszcza na wakacjach. Ładna to była, poważna kocia głowa, szkoda tylko, że te mrugające oczy nie mogły nigdy wytrzymać ludzkiego wzroku. Ile razy bowiem trzymałem burka na kolanach, uparcie się wpatrywałem w te kurczące się źrenice, zawsze odnosiłem wrażenie, jakby przede mną w tym zwierzęciu się coś zamykało. Byłże to fałsz? Może nieufność? Bojaźń? A może kocia nieszczerłość?

Zdaję się, że wszystkiego po trochu. Nasz pies wybity, przeproszał a nawet stawał się jeszcze miłszy, grzeczniejszy. Burek ukarany najpierw zniknął z domu nawet na kilka dni „polując” po ogrodzie i polu, potem kiedy wreszcie przyciśnięty głodem szukał jakiegoś wyjścia, to starał się

zawsze niewidocznie dostać do domu, bez tak w ścisłej psom radości, kiedy powracają do łaski swego pana. Widzieć było, że raczej wolał, by mu zapewnili o jego psotach, kradzieżach lub gniewach. A że tak było w rzeczywistości to najlepiej o tym świadczyło jego podejrzliwe rzucanie oczyma na wszystkie strony, zdającymi się mówić: no, zacznij to znowu sobie pójść, myślisz, że dbam o ciebie? — W ogóle wiele w nim było niskiego i naprawdę zwierzęcego egoizmu. Kiedy miał małe, to naszemu psu chętnie ustępował mleko z talerza, nie drapał go ani raził pełną kociejnienawiści śliną, bo wiedział, że małe znajduje rozrywkę a nawet nieraz i ogrzeją się w kąpieli psa. W innych natomiast razach stał z nim zaciekle walczyć i to o byle co: razem z psom nie mógł przejść progu a kiedy przy śniadaniu pies kładł tylko głowę na kolanach kogoś z domowników, zazdrosny burek darł się w niebogłosy drapał się aż do ust.

Miał oczywiście różne obyczaje i upodobania. Wieczorem tak zawsze umiał się ukryć, że noc wygodnie spędzał w pokoju. Oryginalnie czasem wyglądała jego szara głowa spoczywająca obok twarzy siostry: łapki wyłożone na wierzch a reszta ciała ukryta; tylko po pokoju rochodził się jednostajny i nieco drżący pomruk jego oddechu. Różnie się oczywiście ten błogi sen kończył, ale na wszystko gotowego uparciucha nie zrażało. Zresztą miał zawsze w siostrze kochającą mamę... — Bywało na wiosnę, że burek zniknął na kilka dni. Wreszcie pewnego ranku przychodził wychudzony, z sierścią najeżoną, bokami pozapadanymi, długą chudą szyją i stawał przed siostrą głośno miaucząc i biegnąc ku drzwiom. Był to jego zwyczajny znak prośby, by mu towarzyszyć do gniazda. Wtedy siostra wychodziła a za chwilę odbywał się radosny wjazd na pół dzikich, syczących i rozkrzyczanych małych, kotów czemu towarzyszyły tańce i zawrozenia burka. W okresie macierzyństwa, burek jak to zwykle bywa, pod wpływem swego młodego i niewinnego potomstwa, szlachetniał, więcej okazywał ofiarności i wyrozumiałości, a nawet czasem pomimo wieku brał udział w radosnych i beztrudnych harcach swych dzieci.

W tym czasie był tylko bezlitosny dla ptaków. Znosił wszystko do domu: wróble, szczygły nieraz młodą przepiórkę lub skowronka. Mordował bez miłosierdzia i zazwyczaj cynicznie przynosił do gniazda, jakby się chciał pochlubić swym okrucieństwem. Czasem jego złośliwość już przekraczała zwyczajną miarę, gdy złapane żaby w ogrodowym stawku i na pół żywe gady przyciągał do domu, ku ogólnemu poruszeniu tak zazwyczaj płochliwego żeńskiego rodzaju... W tym okresie nigdy również nie zabijał schwytanych myszy. Najczęściej brał za szyjkę taką na pół omdlałą ofiarę i kładł ją pomiędzy wystraszone koty. Po pewnym czasie omdlenie przemijało a mysz, stanawszy na nogi próbowała ucieczki. Na to burek tylko czekał. Łapą uderzał po grzbiecie nieszczęsne zwierzątko i zatrzymywał je. Ośmie-

lone energicznym ruchem matki kocieja nabierały coraz więcej śmiałości, przybliżały się, to odskakiwały, szarpiąc z iście dziecięcym okrucieństwem bezbronne stworzenie, które może ich matka odwracała od równie młodych myszek... Takie to już bowiem odwieczne, a zarazem i okrutne w swej konieczności, prawo przyrody, że silniejszy zwycięża i pastwi się nad słabszym dla podtrzymania i wzbogacenia własnego życia!

Zazwyczaj ze wzrostem potomstwa burek powoli wyzbywał się swych macierzyńskich uczuć a z nimi ulatniała się również drobina owej kociej szlachetności. Po jakimś czasie następowało coraz to ostrzejsze odżegnywanie się od dojrzewających kotów. Z początku burek zaczynał ich unikać, potem groźnie mrucał i parskał śliną ze złości, gdy któreś mu przerwało błogi sen wreszcie nawet potrafił się rzucić na najbardziej hałaśliwego swawolnika tej małej czeredy. Był to nieomylny znak całkowitego wyrzeczenia się. Usamodzielnione koty musiały o własnych siłach zdobywać się do życia, co aby im ułatwić oddawano je na mniej lub więcej wierną służbę. Burek zostawał sam i wcale się nie nudził. Jak każdy egoista, okazywał wielkie zadowolenie z siebie i dumę. Czasem całymi godzinami rozmarzony siedział na brzegu stawku ze wzrokiem utkwionym w niebiesko — zielonej tafli wody. Może chciał się samolubnie przyjrzeć swej postaci, a może i on lubiał mieć złudzenie obłoków pod sobą, które by go niosły w nieukończoność kociej wyobraźni...?

Najprawdopodobniej też w czasie takich nadbrzeżnych dumań zaziębił się, bo zaczął chorobliwie prychać i co raz silniej kaszleć. Chorował. Dawny burek niżył w oczach. Jak długo to trwało, nikt nie wie, w domu bowiem życia nie skończył; widziano go podobno gdzieś wlokącego się w stronę uroczyiska zwierząt, a byli i tacy, co mówili, że zanim tam doszedł, zginął w zębach przydrożnych psów, które, jak wiadomo, nie mogą znieść, by fałszywe, podstępne i niewierne koty, które w życiu nigdy i nikogo głęboko pokochać nie umiały, umierały własną i spokojną śmiercią.

Przyjaciel! Kolegium.

Z kroniki kolegioidalnej

Z Kółka Misyjnego. Staraniem naszego S. M. M. powstało w Kowlu na terenie szkoły powszechnej Kółko Misyjne, które jest zarazem naszą filią. Mimo różnych przeciwności i niejednokrotnie drwin pesymistów, kilku zapaleńców idei misyjnej pracuje jak może dla tego zbożnego celu. Ilość ich jest jeszcze niewielka, jednak mamy nadzieję, że z biegiem czasu liczba członków zwiększy się i ci, co teraz drwią sobie z tego Kółka M., zrozumią wreszcie zaszczytny obowiązek wspierania misyj. Do tego Kółka M. należą: Słowicz Adam (prezes), Domański Roman (wi-

ceprezes, Węgrzynowski Józef (sekretarz), Piątkowski Eugeniusz (skarbnik) i Rogalski Ryszard, Mroczkowski Radek, Kieś Stanisław, Kądziała Konstanty i Dorobczyński. Dotąd na misje zebrano ponad 120 zn. poczt., 5 dkg cynfolii, oraz 2-22 zł.

Nowym naszym współpracownikiem życzymy serdeczne „Szczęść Boże!”

Dnia 28. V. otrzymaliśmy list od Kółka Mis. istniejącego przy Kolegium OO. Kapucynów w Rozwadowie. Cieszymy się, że koledzy nawiązują z nami korespondencję, którą z przyjemnością będziemy utrzymywać.

Obecnie podajemy całoroczną listę składek poszczególnych członków S. M. M.

Do 0-50 zł złożyli: Żelichowski Z., Guza L., Soliński M. Od 0-50 — 1-00 zł: Biziorek Z., Golec E., Malinowski St., Sokołowski St., Tratkiewicz M., Wyganowski A., Michalski A., Danys A., Majewski E., Jakubowski, Kryk, Madej, Nowak K., Kaczor. Od 1-00 — 1-50 zł: Jodłowski, Niżiński, Olszewski A., Ruszczak Br., Szabat, Szawarski, Wypych, Dreschler, Główa, Gralewski, Łaba, Łupina, Piotrowski, Baryń, Dyka, Grudziński M., Kowalczyk, Marczewski, Nadrowski, Stachurski, Zwolak, Chołota, Mierzwiński, Traczykiewicz. Od 1-50 — 2-00 zł: Bis, Cieślik, Domański T., Kiciak, Kowalczyk, Łabęcki, Mazurek, Piasecki St., Szajner, Stejnabis, Wąsek, Gizak, Grudziński J., Krajewski, Nowak T., Paszko, Potomski, Żenkin, Biegański, Mucha, Zieńkowski, Zych, Boryś, Gencza, Kołodziejek, Olszewski Albin, Łukowski, Pawelec, Strąkowski, Mikołaj, Kajpus. Od 2-00 — 3-00 zł: Bieńkowski, Gajerski, Janik, Kaźmierczak, Kostecki, Krauz, Nowosadzki, Pawul, Piasecki T., Sawa, Świeboda, Świsł, Uzar, Wójtowicz, Wrona, Wysocki Zb., Altbaum, Chmiel, Domański, Dudek, Gajdek, Głowiak, Irzeński, Kordecki, Kud, Marcola A., Marcola W., Moskwa, Oczóś, Rekiel, Skalniak, Szczepanik, Zbroński, Cwikła, Guzowski, Sikora, Zawiślak, Cygan, Grochał, Kaparnik, Szypuła. Od 3 — 4 zł: Miziuła, Snopek, Wysocki, Żyła, Dziuba, Fila, Migdał, Olech, Kaniuka, Marcola, Buszko, Czubyrt. Od 4—5 zł: Filiński, Szewczuk, Zawada, Biały, Nowosadzki, Fłachta, Szafran. Ponad 5 zł: Grobelny, Ruszczak B., Skalczyński, Żrodowski, Jakub, Nowosad, Wilczyński, Dytrych, Ponad 10 zł: Błazucki, Buszowski. Eezimienni 5-75 zł. Różne 56 zł.

Wieczorek żywego słowa kl. II.

Jak inne, tak i kl. II. 22. V. stanęła w szrankach do walki o pierwszeństwo we władaniu „żywym słowem”. O, nie jest łatwą rzeczą taka szermierka. By słowo żyło w swej tonacji, geście, mimice, „trzeba sztuki, mocium panie.”

Wieczorek rozpoczął Kud „Ciceronem” Kono-pnickiej. Chociaż deklamacja nie była złą, to jednak nie wszystkie piękne momenty były wykorzystane. Dalej nastąpiły wyjątki z „Pana Tadeusza.” A więc Rekiel opracował „dźdżysty poranek,” oddając w deklamacji taką potęgę monotonii, iż wszyscy słuchacze ani się spostrzegli, jak się znaleźli w objęciach Morfeusza. Czubyrt

w urywku „Charty” usiłował oddać napięcie akcji, lecz mimo, że miał wdzięczne pole do popisu, usiłowania swe uwięził podobnym skutkiem, jak same charty, którym się nie powiodło pod gajem. Na poziomie byłoby Paszko i Szczepanik, gdyby nie nerwowe ucinanie wyrazów u pierwszego i brak werwy u drugiego. Deklamowali: pierwszy „Zaścianek,” drugi — „Maciej z królikami”. Kontrastowo zarysowuje się na tle tych prób historia Domejki i Dowejki, odtworzona pięknie i z dużym talentem narratorskim przez Drechslera.

Nastąpiła po niej scena z karczmą z ks. Robakiem. Dobrze grał ks. Robaka Krajewski, lepiej Skołubę Nowosad, inni zaś wypadli dosyć słabo. Dobrym deklamatozem był Skalniak. Deklamował wspaniałą wyjątek z poematu P. Prof. Długosza pt. „Modlitwa Bałtyku”.

Dialog z „Grażyny” był odegrany nienadzwyczajnie, gdyż wykonawcy ról Litawora i Rymwida (Irzeński, Nowosad) za mało dbali o ruchy. Kazanie nad zwłokami Podbipięty wypadło dosyć dobrze, choć kaznodzieja (Fila) niewiele miał dynamiki w słowach i niezbyt dobrze harmonizował z nimi gesty. Lepiej wypadły fraszki W. Potockiego, odtworzone z sowizdrzalskim zacięciem humoru przez Migdała, Żenkina, Domańskiego, Moskwę. Po nich dalszy ciąg dialogu Litawora z Rymwidem (Altbaum, Główa) wypadł od jego początku znacznie lepiej. Również podobał się szereg „facecji,” ilustrujących humor staropolski XVII wieku, w wykonaniu: Moskwy, Domańskiego i Potomskiego.

Na wety po tak bogatej kolacji literackiej usłyszeliśmy wesoły, zmakaronizowany utwór pióra P. Prof. Stefaniszyna. Deklamował Skalniak.

Klasa II. dała po klasach wyższych stosunkowo dużo.

Zdobyła w głośnie „gigantomachii” klasowej, jak się należało spodziewać, miejsce trzecie.

Z muzami do Turobina.

Nasze radecznickie Melpomena, Talia i inne Kaliopy, znudziły sobie w końcu skromne deski naszej radecznickiej sceny, no i niezłomnie postanowiły wyprowadzić zastępy swych wielbicieli na szeroki świat. Droga na szeroki świat poprowadziła przez Turobin. Ta pierwsza placówka okazała się b. trudną do zdobycia. Mianowicie scena w tym miasteczku okazała się wielce zaniedbaną. Toteż ręce opadały od pracy naszym młodym bohaterom pod energicznym dowództwem Br. Apolinarego. Drugą barierą na drodze w „szeroki świat” była fatalna pogoda. Wpłynęła ona ujemnie na skalę dochodu i na humory aktorów, którzy 8 km szczerkali zębami „pro publico bono,” gdyż dochody miały pójść na cele n.ilitaryne. Lecz mimo tych wszystkich przeciwności należy przyznać, że nasi ulubieńcy muz nie są ze zwyczajnej gliny, co rozmaka na deszczu i kruszy się na kantach, gdzż umieli się zaciąć i postawić na swoim. Występ więc był i wypadł dobrze. Aktorzy wykazali wiele dobrych chęci, poświęcenia i zdzierzystości. Grali jak tylko umieli, a umieli niejednokrotnie wspaniale. Widzów było stosunkowo dużo. Dziwiło jednak to, że mimo, iż dochód przeznaczony był na LOPP., a grane sztuki były wysoce wartościowe, nie było na widowni wielu, których się widzieć spodziewano. Czyżby niewiedzieli o widowisku szumnie reklamowanym?

Egzamin wychowanków Kolegium odbędzie się dnia 9 i 10 czerwca w Państw. Gimnazjum w Sokalu, poczem wyjazd na wakacje.

Redaktor naczelny i odp. O. Jan Duklan Michnar — rektor.

Tłoczono jako manuskrypt w Drukarni Głosu Kolegialnego w Radecznicy (lubelskie).